

Druga część cyklu SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



MAPA TRZECH MĘDRCÓW

Prolog

Marzec 1162

Ludzie arcybiskupa umknęli w cień wypełniający dolinę. Za nimi, na przełęczy, przeraźliwie rżały konie zasypywane i dżgane ostrogami. Wtórowały im ludzkie okrzyki, wrzaski i przekleństwa. Stał dźwięczała niczym kościelne dzwony, ale nie w bożej sprawie toczyła się ta walka.

Straż tylna musi wytrzymać!

Brat Joachim kurczowo ściskał cugle wierzchowca ześlizgującego się po stromym stoku. Naładowany wóz dotarł już bezpiecznie na dno doliny, ale naprawdę bezpieczni będą, gdy pokonają jeszcze całą milę.

Jeżeli dadzą radę.

Joachim rozpaczliwie poganiał klacz. Kiedy z pluskiem i chlupotem przebrnęli przez lodowaty strumień, odważył się zerknąć za siebie.

Choć wiosna była tuż-tuż, to w górach wciąż niepodzielnie panowała zima. Ośnieżone szczyty o graniach ostrych jak brzytwy lśniły oślepiająco w promieniach zachodzącego słońca, ale tu, w zacienionych wąwozach, topniejący śnieg zamienił grunt w grząskie błoto. Konie zapadały się tak głęboko, że w każdej chwili mogły połamać nogi. Koła wozu grzęzły niemal po osie. Pojazd poruszał się coraz wolniej, aż w końcu znieruchomiał. Joachim spał wierzchowca ostrogami, by dołączyć do żołnierzy przy wozie.

Nadjechali kolejni jeźdźcy, z tyłu napierali następni. Powinni jak najprędzej dotrzeć do szlaku wspinającego się na grań po drugiej stronie doliny.

— Wio! Wio! — wykrzykiwał woźnica, poganiając konie batem.

Zwierzęta naparły ze wszystkich sił, lecz bez rezultatu. Zaskrzypiały powrozy i łańcuchy, z nozdrzy buchnęły kłęby pary, ludzie klęli na czym świat stoi. Powoli — zbyt powoli — wóz ruszył z donośnym mlaskaniem przypominającym odgłos, jaki wydobywa się z rozplątanej mieczem piersi. Najważniejsze, że znowu jechał naprzód. Za każde opóźnienie płacili ludzkim życiem. Z przełęczы za ich plecami dobiegały krzyki konających.

Straż tylna musi wytrzymać jeszcze dłużej.

Wóz wolno wspinał się pod górę. Trzy wielkie kamienne sarkofagi coraz mocniej naprężały liny. Gdyby któraś z nich pękła...

Brat Joachim zrównał się z wozem. Natychmiast podjechał do niego drugi zakonnik, Franz.

— Zwiadowcy donoszą, że szlak przed nami jest bezpieczny.

— Relikwie nie mogą wrócić do Rzymu. Musimy dowieźć je do niemieckiej granicy.

Franz skinął głową. Istotnie, relikwie nie były bezpieczne na włoskiej ziemi — szczególnie teraz, kiedy prawowity papież został wygnany do Francji, a w Rzymie rządził uzurpator.

Konie ciągnęły coraz żwawiej, stąpając po twardym gruncie, niemniej posuwali się naprzód co najwyżej w tempie piechura. Joachim co chwila odwracał się w siodle i z niepokojem patrzył na pozostawioną z tyłu grań. Szczęk oręża ucichł, od ścian doliny odbijały się echem już tylko jęki i szlochanie. Mogło to oznaczać jedno: straż tylna została pokonana. Joachim wyteżał wzrok, lecz w głębokim cieniu lasu porastającego zbocze poniżej skalnych grani niewiele mógł dostrzec. A potem nagle ujrzał metaliczny błysk. W plamie słonecznego blasku pojawiła się samotna sylwetka w błyszczącej zbroi.

Nawet gdyby Joachim nie zauważył czerwonego smoka na napierśniku, i tak od razu rozpoznałby porucznika czarnego papieża. Pogański Saracen przybrał chrześcijańskie imię Fierabras, po jednym z paladynów Karola Wielkiego. Przewyższał

swoich ludzi co najmniej o głowę. Prawdziwy olbrzym. Miał na rękach więcej chrześcijańskiej krwi niż ktokolwiek, ale przyjąwszy w minionym roku chrzest, Saracen stanął u boku kardynała Oktawiana, czarnego papieża, który przybrał imię Wiktora IV.

A teraz trwał nieruchomo w plamie słonecznego blasku, najwyraźniej ani myśląc ruszać w pogoń. Wiedział, że jest już za późno.

Wóz wreszcie dotarł do grani i wjechał na prowadzącą wzdłuż jej krawędzi drogę z głębokimi koleinami. Teraz już nic nie powinno ich zatrzymać. Od niemieckiej ziemi dzieliła ich zaledwie mila. Zasadzka zastawiona przez Saracena na nic się zdała.

Uwagę Joachima zwróciło nagłe poruszenie.

Fierabras ściągnął z pleców ogromny łuk, czarny jak cień, wyjął strzałę z kołczanu i powoli naciągnął cięciwę. Joachim zmarszczył brwi. Po co on to robi? Co chce w ten sposób osiągnąć?

Strzała poszybowała w górę, na chwilę znikła w blasku słońca nad granią. Chwilę później, niczym nurkujący jastrząb, uderzyła w wieko środkowego sarkofagu.

Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, kamienne wieko pękło z trzaskiem, zerwały się liny, wszystkie trzy skrzynie zsunęły się ku tyłowi wozu. Ludzie rzucili się, by uchronić sarkofagi przed upadkiem na ziemię. Natychmiast zatrzymano wóz, ale za późno: jeden z sarkofagów zjechał z wozu prosto na żołnierza, miażdżąc mu nogę i miednicę. Powietrze rozdarł przeraźliwy wrzask nieszczęśnika.

Franz zsunął się z końskiego grzbietu, doskoczył do tych, którzy już starali się dźwignąć sarkofag, uwolnić żołnierza, a co ważniejsze, umieścić sarkofag z powrotem na wozie. Pierwsza część zadania się powiodła, ale nie mogli uporać się z drugą.

— Liny! — ryknął Franz. — Dawajcie liny!

Jeden z żołnierzy poślizgnął się, sarkofag przechylił się na bok, ponownie uderzył o ziemię, kamienne wieko odpadło z łoskotem.

Z tyłu, za ich plecami, rozległ się szybko narastający tętent. Odwracając się, Joachim wiedział już, co zobaczy. Konie z

odzianymi na czarno jeźdźcami na grzbietach pędziły ku nim z ogromną prędkością. Wpadli w drugą zasadzkę.

Joachim siedział nieruchomo na swoim wierchowcu. Wiedział, że nie ma ucieczki. Franz otworzył szeroko usta — nie ze strachu, lecz ze zdumienia, ujrawszy zawartość rozbitego sarkofagu... A raczej jej brak.

— Pusty! — wykrzyknął młody zakonnik. — Jest pusty!

Franz jednym susem znalazł się na wozie i wybałuszył oczy.

— Nic... — wykrztusił, osuwając się na kolana. — Ani śladu... Co z relikwiami?! — Popatrzył na spokojnego Joachima. — Ty... Wiedziałeś?

Joachim przeniósł wzrok na zbliżających się szybko jeźdźców. Ta karawana była jedynie fortelem, przynętą, która miała ściągnąć na siebie uwagę ludzi czarnego papieża. Prawdziwy kurier wyruszył dzień wcześniej z kilkoma mułami i relikwiami ukrytymi w wiązce siana. Co prawda Fierabras skapie dzisiaj ostrze swego miecza we krwi, ale relikwie nigdy nie dostaną się w ręce czarnego papieża.

Nigdy.

Czasy obecne 22 lipca, 23.46 Kolonia, Niemcy

Zbliżała się północ. Jason podał iPod Mandy.

— Posłuchaj. Najnowszy singel Godsmack. Jeszcze nawet niewydany w Stanach. I co ty na to?

Jej reakcja nieco go rozczarowała: Mandy wzruszyła ramionami z obojętną miną, po czym odgarnęła do tyłu czarne włosy o zabarwionych na pomarańczowo końcach i włożyła słuchawki do uszu. Poły kurtki rozchyliły się na tyle, by odsłonić czarny T-shirt ciasno opięty na piersiach wielkości jabłek. Jason gapił się na nie.

— Nic nie słyszę — powiedziała Mandy, wzdychając zniecierpliwiona.

No jasne. Jason przeniósł spojrzenie na iPod i wcisnął „play”, po czym odchylił się do tyłu i oparł na rękach. Siedzieli na

wąskim trawniku okalającym szeroki deptak zwany Domvorplatz. Otaczał on ogromną gotycką katedrę, wzniesioną na wzgórzu i dominującą nad miastem. Wzrok Jasona powędrował w górę, na bliźniacze wieże ozdobione niezliczonymi kamiennymi rzeźbami niekoniecznie religijnej natury. Oświetlone blaskiem reflektorów wydawały się czymś nie z tego świata.

Nasłuchując muzyki sączącej się ze słuchawek iPod'a, Jason patrzył na Mandy. Oboje uczyli się w Boston College i dotarli do Kolonii podczas wakacyjnej wędrowki z plecakami po Niemczech i Austrii. Wyruszyli na tę wyprawę jeszcze z dwójką przyjaciół, Brendą i Karlem, tamci jednak woleli zwiedzać miejscowe puby, niż uczestniczyć w mszy o północy. Mandy była praktykującą katoliczką, a że takie msze odprawiano w katedrze zaledwie kilka razy w roku, w dodatku z udziałem samego arcybiskupa Kolonii, było całkiem zrozumiałe, że nie chciała przepuścić nadarzającej się okazji. Jason, chociaż protestant, zgodził się jej towarzyszyć.

Mandy poruszała lekko głową w takt muzyki. Jasonowi podobały się jej lekko falujące włosy i sposób, w jaki wydymała dolną wargę, wsłuchując się w utwór. Nagle poczuł delikatne dotknięcie na rękę; to Mandy musnęła ją czubkami palców, ani na chwilę nie odwracając wzroku od katedry.

Jason wstrzymał oddech.

Przez minione dziesięć dni czuli, jak coś coraz bardziej zbliża ich do siebie. Przed tą wyprawą byli zaledwie znajomymi; Mandy i Brenda przyjaźniły się od gimnazjum, a Karl i Jason dzielili pokój w internacie. Karl i Brenda, od niedawna stanowiący parę, namówili ich na wspólny wyjazd, na wypadek gdyby się sobą szybko znudzili. Nic takiego jednak nie nastąpiło, wręcz przeciwnie, w związku z czym Jason i Mandy coraz częściej wyruszali na zwiedzanie tylko we dwójkę.

Jason nie miał nic przeciwko temu. W college'u studiował historię sztuki, Mandy specjalizowała się w europeistyce. Tutaj mogli zweryfikować swoją podręcznikową wiedzę, nadać jej konkretny życiowy wymiar. Ponieważ oboje uwielbiali odkrywać i poznawać nowe rzeczy, szybko znaleźli wspólny język.

Jason bardzo się pilnował, żeby nie spojrzeć w dół, na rękę, ale nieznacznie przesunął palce bliżej dłoni dziewczyny. Czy

tylko mu się zdawało, czy noc nagle nabrała kolorów? Niestety piosenka skończyła się zbyt wcześnie. Mandy wyprostowała się i wyjęła słuchawki z uszu.

— Chyba powinniśmy już iść — szepnęła, wskazując ruchem głowy na ludzi wchodzących do katedry, po czym wstała i zapięła czarną, nierzucającą się w oczy kurtkę, a następnie wygładziła sięgającą niemal do kostek spódnicę. Wystarczyło, że zgarnęła za uszy kosmyki zakończonych pomarańczowo włosów, by przeobraziła się z wyzwolonej studentki w skromną katolicką dziewczynę.

Jasona aż zatkało na widok tej błyskawicznej transformacji. Nagle poczuł, że jego czarne dżinsy i kurtka nie są odpowiednim strojem na nabożeństwo.

— Wyglądasz okej — powiedziała uspokajająco Mandy, jakby czytając w jego myślach.

— Dzięki — wymamrotał.

Zgarnęli swoje rzeczy, wyrzucili puste puszki po coli do kosza na śmieci i przeszli na drugą stronę brukowanego Domvorplatz.

— *Guten Abend* — powitał ich przy wejściu ubrany na czarno diakon. — *Willkommen*.

— *Danke* — wymamrotała Mandy, po czym szybko wspięli się po stopniach.

Przez otwarte drzwi na kamienne schody spływał migotliwy blask świec, pogłębiając wrażenie obcowania z czymś wiekowym i dostojnym. Wcześniej, podczas zwiedzania katedry, Jason dowiedział się, że kamień węgielny pod tę ogromną budowlę położono w trzynastym wieku. Z trudem potrafił ogarnąć wyobraźnią taki szmat czasu.

Gdy tylko weszli do środka, Mandy umoczyła czubki palców w wodzie święconej i przeżegnała się. Jason poczuł się niezręcznie, uświadomił sobie wyraźniej niż kiedykolwiek, że jest tutaj intruzem, że to nie jego wiara. Obawiał się, że palnie jakieś głupstwo, które zawstydzi nie tylko jego, ale i Mandy.

— Chodźmy — szepnęła Mandy. — Chcę mieć dobre miejsce, ale nie za blisko ołtarza.

Jason szedł tuż za nią. Kiedy znaleźli się w nawie głównej, jego zakłopotanie szybko ustąpiło miejsca zachwytowi. Chociaż już tu był i choć zdążył się wiele dowiedzieć o przeszłości

katedry, to i tak majestat tego miejsca wywarł na nim ogromne wrażenie. Przed nim ciągnęła się ponadstumetrowa nawa główna przecięta niemal stumetrowym transeptem. W miejscu ich przecięcia usytuowano ołtarz. Jednak tak naprawdę największe wrażenie robiła nie długość ani szerokość, lecz niesamowita wysokość budowli. Strzeliste łuki i kolumny z hipnotyzującą siłą zmuszały do skierowania spojrzenia w górę, na wysokie sklepienie. Tam również unosił się dym tysięcy migoczących świec.

Mandy poprowadziła go w kierunku ołtarza. Po obu stronach odgrodzono go grubymi linami, ale pozostawiono przejście w nawie głównej.

— Może tutaj? — zapytała, zatrzymując się mniej więcej w połowie nawy. Uśmiechała się łagodnie, nieśmiało.

Skinął głową w milczeniu, onieśmielony jej urodą. Madonna w czerni.

Mandy wzięła go za rękę i zaprowadziła na sam koniec ławki, tuż przy ścianie. Usiadł, zadowolony ze względnego odosobnienia. Mandy wciąż trzymała go za rękę. Czuł ciepło jej dłoni.

Ten wieczór stawał się coraz przyjemniejszy.

Wreszcie zadźwięczał dzwonek i rozległ się śpiew chóru. Zaczynała się msza. Jason naśladował Mandy, klękając, wstając i siadając w wyrafinowanym balecie wiary. Nic z tego nie rozumiał, ale stwierdził, że go to intryguje: odziani w długie stroje kapłani wymachujący kadzielnicami, procesja towarzysząca arcybiskupowi w mitrze i bogato zdobionych szatach, pieśni śpiewane przez chór i wiernych, blask świec.

Dzieła sztuki brały udział w ceremonii w takim samym stopniu jak jej uczestnicy. Drewniana rzeźba Matki Boskiej z małym Jezusem, zwana Madonną Mediolańską, jaśniała wiekiem i wdziękiem. Po drugiej stronie nawy marmurowy święty Krzysztof z łagodnym uśmiechem trzymał na rękach niemowlę. A nad tym wszystkim dominowały gigantyczne witraże, teraz ciemne, ale odbijające światło świec różnobarwnymi błyskami niczym kamienie szlachetne.

Największe wrażenie robił jednak złoty sarkofag za ołtarzem, zamknięty w gąblocie z metalu i szkła. Rozmiarów zaledwie

sporej walizki i przypominający kształtem miniaturowy kościół, stanowił centralny punkt katedry, przyczynę jej wzniesienia, był najważniejszym miejscem związanym z wiarą i sztuką. Zawierał najświętsze relikwie przechowywane w tym kościele. Wykonany z litego złota, powstał, zanim jeszcze mury katedry zaczęły piąć się ku górze. Zaprojektowany w trzynastym stuleciu przez Mikołaja z Verdun, jest uważany za najwspanialszy ocalały przykład średniowiecznej sztuki złotniczej.

Jason prowadził obserwację, a msza toczyła się swoim rytmem, wyznaczanym dzwonekami i modlitwami, nieuchronnie zmierzając do końca. Wreszcie nadeszła pora na komunię, czyli dzielenie się eucharystycznym chlebem. Wierni wolno wychodzili z ławek i zmierzali ku ołtarzowi, by przyjąć ciało i krew Chrystusa.

Kiedy nadeszła ich kolej, Mandy wstała i wysunęła dłoń z jego ręki.

— Zaraz wracam — szepnęła.

Ławka niemal całkowicie opustoszała, ludzie podążyli w kierunku ołtarza. Czekając na powrót Mandy, Jason wstał, by rozprostować nogi. Korzystając z okazji, przyjrzał się rzeźbom po obu stronach konfesjonału oraz posłał tęskne spojrzenie w kierunku przedsionka, gdzie było wejście do toalety. Coraz bardziej żałował, że skusił się na trzecią puszkę coli.

Właśnie wtedy, kiedy tam patrzył, do katedry weszła grupa mnichów. Byli w długich czarnych szatach, z kapturami nasuniętymi na oczy, ale... Poruszali się stanowczo zbyt szybko, z wojskową precyzją, zajmując miejsca w wypełnionych cieniem zakamarkach. Czy to też należało do rytuału?

Rozejrzawszy się ukradkiem, dostrzegł więcej podobnych postaci przy wszystkich drzwiach, nawet za transeptem obok ołtarza. Choć miały pochylone głowy, trudno było oprzeć się wrażeniu, że stoją na warcie.

Co tu się dzieje?

Wypatrzył Mandy przy ołtarzu. Właśnie przyjmowała komunię. Za nią czekało w kolejce już tylko kilka osób. Oto ciało i krew Chrystusa, wyczytał Jason z ust kapłana.

Amen, odpowiedział w myślach.

Komunia dobiegła końca, wierni — w tym także Mandy — wrócili na miejsca. Jason przepuścił ją, po czym usiadł obok.

— O co chodzi z tymi mnichami? — zapytał.

Kłęczała z pochyloną głową. Nie odpowiedziała, tylko przyłożyła palec do ust. Usiadł. Większość uczestników nabożeństwa również kłęczała; siedzieli tylko ci, którzy tak jak on nie przystąpili do komunii. Kapłan wycierał kielich, arcybiskup zdawał się drzeć na swym tronie.

Wrażenie obcowania z czymś wzniosłym i niezwykłym zniknęło bez śladu. Być może przyczynił się do tego dyskomfort związany z pełnym pęcherzem, ale Jason nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie stąd wyjdzie. Już nawet wyciągnął rękę, by dotknąć łokcia Mandy i zachęcić ją, by się podniosła...

Nagły ruch zwrócił jego uwagę. Mnisi po obu stronach ołtarza błyskawicznie wydobyli broń spod szat. W blasku świec zaślnął naoliwiony metal: pistolety maszynowe Uzi z długimi czarnymi tłumikami na lufach.

Chwilę potem rozległ się stukot wystrzałów, niegłośniejszych od kaszlu nałogowego palacza. Pochylone głowy uniosły się ze zdziwieniem. Kapłan w białych szatach liturgicznych zdawał się tańczyć w rytm niesłyszalnej muzyki; na białym materiale pojawiły się czerwone plamki, jak ślady po kulkach z farbą w paintballu. Zaraz potem runął na ołtarz, przewracając kielich. Wino wymieszało się z jego krwią.

Po kilku sekundach wypełnionych całkowitą ciszą w świątyni rozległy się okrzyki przerażenia. Arcybiskup nieporadnie zerwał się z miejsca, zachwiał i mało nie runął jak długi; mitra spadła mu z głowy i potoczyła się po posadzce.

Mnisi rozbiegli się po nawach bocznych, wykrzykując polecenia po niemiecku, francusku i angielsku.

— *Bleiben Sie in Ihren Sitzen... Ne bouge pas...*

Głosy były stłumione, ponieważ wydobywały się zza masek zasłaniających twarze, ale wycelowana broń nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do ich znaczenia.

Nie ruszać się albo zginiecie!

Mandy i Jason usiedli w ławce. Dziewczyna zacisnęła palce na jego ręce. Jason rozglądał się dokoła szeroko otwartymi oczami. Wszystkie drzwi były obstawione.

Co się tu dzieje?

Od grupy mnichów stojących przy głównym wejściu odłączyła

wysoka postać. Jej szata przypominała pelerynę. Chociaż bez broni, wyprostowany mężczyzna szedł śmiało środkiem nawy głównej. Kiedy stanął przed arcybiskupem, wywiązała się między nimi ożywiona rozmowa. Jason uświadomił sobie ze zdumieniem, że wymiana zdań odbywa się po łacinie. W pewnej chwili dostojnik kościelny cofnął się gwałtownie o krok, jakby coś go przeraziło.

Wysoki mężczyzna w pelerynie odsunął się na bok. Zaterkotały pistolety maszynowe, ale strzelający nie chcieli nikogo zabić; celem była szklana gabłota, w której znajdował się złoty relikwiarz. Kuloodporne szkło popękało, w wielu miejscach pojawiły się wgłębienia, ale nic więcej nie udało im się osiągnąć.

Odporność zabezpieczeń zdawała się dodawać sił arcybiskupowi, który stanął pewnie na nogach i wyprostował zgarbione plecy. Przywódca mnichów wstrzymał kanonadę ruchem ręki i powiedział coś po łacinie. Arcybiskup pokręcił głową.

— *Lassen Sie dann das Blut Ihrer Shafe Ihre Hände beflecken*
— rzekł mnich po niemiecku.

W takim razie niech krew twoich owieczek splami twoje ręce.

Dwaj mężczyźni stanęli po obu stronach gabłoty i przyłożyli do niej coś w rodzaju dużych metalowych talerzy. Rezultat był natychmiastowy: poharatane szkło rozsypało się w drobny mak, jakby po uderzeniu huraganu. Nieosłonięty niczym sarkofag załśnił w blasku świateł. Jason poczuł w uszach krótki, choć gwałtowny wzrost ciśnienia, jakby ściany katedry nagle zbliżyły się ze wszystkich stron. Zabolało w uszach, zakręciło się w głowie...

Odwrócił się do Mandy.

Wciąż trzymała go mocno za rękę, ale odchyliła głowę do tyłu i szeroko otworzyła usta.

— Mandy?

Kątem oka widział innych ludzi znieruchomiałych w równie nienaturalnych pozach. Dłoń Mandy zaczęła drżeć w jego ręce, wibrując niczym membrana głośnika wysokotonowego. Z oczu dziewczyny popłynęły łzy, najpierw bezbarwne, chwilę potem czerwone. Przestała oddychać. Jej ciało szarpnęło się gwałtownie, ale zanim osunęło się na podłogę, poczuł uderzenie prądu.

Przerażony, zerwał się z miejsca.

Z szeroko otwartych ust Mandy wydobywała się smużka dymu. Oczy, wywrócone białkami do góry, w kącikach szybko czerniały.

Była już martwa.

Oniemiały, rozejrzał się dookoła. Wszędzie działo się to samo, zaledwie kilka osób nie zaznało strasznego losu. Dwoje małych dzieci płakało rozpaczliwie, siedząc między nieżyjącymi rodzicami. Jason szybko się zorientował, kto ocalał: wszyscy, którzy nie przystąpili do komunii.

Tak jak on.

Wycofał się w cień przy ścianie. Nikt tego nie zauważył. Jego ręka trafiła na drzwi, nacisnęła klamkę.

Te drzwi nie prowadziły na zewnątrz. Wślizgnął się do konfesjonału, osunął na kolana, objął ramionami. Na usta cisnęły mu się słowa modlitwy.

Nagle wszystko się skończyło. Poczuł to w głowie. Jakby pyknięcie. Ściany przestały napierać.

Po jego policzkach popłynęły łzy. Ostrożnie zerknął przez szparę w drzwiach konfesjonału.

Ze swojej kryjówki miał doskonały widok na ołtarz i nawę główną. W powietrzu unosił się smród palonych włosów. Słysząc było jęki i szlochy, ale wydobywały się z bardzo niewielu ust. Jakaś odziana w łachmany postać, przypuszczalnie bezdomny, wysunęła się z ławki i zataczając, pobiegła w kierunku głównego wyjścia, ale zanim zdążyła zrobić dziesięć kroków, dostała kulę w tył głowy.

Boże... o Boże...

Tłumiąc rozpaczliwy szloch, Jason przeniósł spojrzenie na ołtarz. Czterej mnisi wyjęli złoty sarkofag z roztrzaskanej gąbłoty. Ciało kapłana odsunięto na bok kilkoma kopniakami. Mnisi ustawili sarkofag na ołtarzu, unieśli wieko, po czym ich przywódca przełożył zawartość do sporego worka, który wyjął spod habitu. Opróżniony sarkofag wylądował z łomotem na posadzce świątyni.

Przywódca zarzucił worek na ramię i szybkim krokiem podążył w stronę głównych drzwi.

Arcybiskup zawołał coś za nim po łacinie. Zabrzmiało to jak

przekleństwo, ale mnich tylko machnął ze zniecierpliwieniem ręką. Jeden z jego towarzyszy zrobił krok naprzód i przystawił arcybiskupowi pistolet do głowy.

Jason osunął się na podłogę konfesjonau. Nie chciał widzieć nic więcej. Zamknął oczy. W katedrze co jakiś czas rozlegały się pojedyncze strzały. Krzyki stopniowo milkły. Śmierć obejmowała świątynię w niepodzielne władanie.

Jason zacisnął mocniej powieki i modlił się.

Parę chwil wcześniej, w momencie kiedy habit przywódcy się rozsunał, na ubraniu, które tamten miał pod spodem, Jason dostrzegł znak przedstawiający smoka z ogonem owiniętym wokół własnej szyi. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego; przemknęło mu przez myśl, że to dość egzotyczny symbol, bardziej perski niż europejski.

W katedrze zapadła grobowa cisza. Zaraz potem do jego kryjówki zaczęły zbliżać się czyjeś kroki. Jason jeszcze mocniej zacisnął powieki, jakby usiłował w ten sposób odgrodzić się od niewyobrażalnego koszmaru, okrucieństwa, świętokradztwa. A wszystko to dla paru kości.

Chociaż ta katedra powstawała przez stulecia właśnie po to, by je chronić, choć składali im hołd niezliczeni władcy, choć nawet dzisiejsze święto miało czcić pamięć tych od dawna nieżyjących ludzi — Święto Trzech Króli — w jego umyśle wciąż od nowa pojawiała się to samo pytanie:

Dlaczego?

Wizerunki Trzech Mędrców można było znaleźć w całej katedrze, wykonane w kamieniu, szkle i złocie. Tutaj podążali ku Betlejem, prowadzeni przez gwiazdę, tam składali hołd małowzrastającemu Chrystusowi, ofiarowując mu złoto, kadzidło i mirrę. Ale Jason miał przed oczami coś zupełnie innego: ostatni uśmiech Mandy. Delikatne dotknięcie jej dłoni.

To wszystko bezpowrotnie odeszło w przeszłość.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami konfesjonau.

Jason wciąż bezgłośnie wykrzykiwał pytanie o sens tego rozlewu krwi.

Dlaczego?

Do czego komuś były potrzebne szczątki Trzech Mędrców?

1

Ósma Kula

24 lipca, 4.34
Frederick, Maryland

Przybył sabotażysta.

Grayson Pierce przejeżdżał motocyklem przez wąskie przesmyki między budynkami, które tworzyły centrum Fort Detrick. Elektryczny silnik pracował nie głośniej niż agregat lodówki. Czarne rękawiczki pasowały do koloru maszyny — ten niklowo-fosforowy lakier nosił nazwę NPL SuperBlack. Pochłaniał światło w takim stopniu, że w porównaniu z nim zwykła czerń zdawała się niemal świecić. Zarówno reszta stroju, jak i kask były równie głęboko czarne.

Pochylony nad kierownicą, powoli zbliżał się do końca alejki. U jej wylotu zaczynał się dziedziniec otoczony budynkami Narodowego Instytutu do walki z Rakiem, wchodzącego w skład USAMRIID, czyli Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych. Tutaj, w całkowicie oddzielonych od świata laboratoriach o łącznej powierzchni sześciu tysięcy metrów kwadratowych, toczyła się wojna z bioterroryzmem.

Gray wyłączył silnik, ale nie zsiadł z motocykla. Lewym kolaniem dotykał sakwy z siedemdziesięcioma tysiącami dolarów. Wolał pozostać tutaj, w mroku. Księżyc już dawno zaszedł, do wschodu słońca zostały jeszcze dwadzieścia dwie minuty. Gwiazdy skryły się za resztkami chmur burzowych.

Czy podstęp się uda?

— Muł do Orła — powiedział bezgłośnie do laryngofonu. —

Dotarłem na miejsce spotkania. Dalej idę pieszo.

— Potwierdzam odbiór. Mamy cię na podglądzie z satelity.

Oparł się pokusie, żeby spojrzeć w górę i pomachać. Nie lubił być obserwowany, śledzony, ale w tym wypadku stawka była zbyt wysoka. Jego informator był bardzo płochliwy. Oswojenie go zajęło blisko pół roku, dzięki kontaktom w Libii i Sudanie. To nie było łatwe. Zaufania nie kupuje się za pieniądze. Szczególnie w tym biznesie.

Wyjął z sakwy torbę z pieniędzmi i przewiesił ją przez ramię. Zaparkował motocykl w najbardziej zacienionym miejscu, zsiadł i przeszedł na drugą stronę alejki.

O tej porze niewiele oczu pozostawało otwartych, te, które patrzyły, na ogół były elektroniczne. Kontrolę tożsamości przeszedł przy wjeździe na teren ośrodka — teraz pozostawało mu wierzyć, że zdoła uniknąć elektronicznych środków nadzoru.

Zerknął na wyświetlacz swojego zegarka dla pletwonurków: 4.45. Spotkanie miało się odbyć za kwadrans. Tak wiele zależało od tego, czy zakończy się sukcesem...

Wreszcie Gray dotarł do celu. Budynek 470. O tej porze stał całkowicie opustoszały, w przyszłym miesiącu miała zacząć się jego rozbiórka. Ponieważ w związku z tym w zasadzie nikt go nie pilnował, doskonale nadawał się do takich spotkań, choć w wyborze akurat tego miejsca można było doszukać się pewnej ironii. Otóż w latach sześćdziesiątych w ogromnych zbiornikach hodowano tu bakterie wąglika. Zapasy zniszczono komisyjnie dopiero w roku 1971 i od tego czasu budynek pełnił funkcję magazynu Narodowego Instytutu do walki z Rakiem. Teraz jednak znowu wróciła sprawa wąglika. Zerknął w górę. Wszystkie okna były ciemne. Miał się spotkać ze sprzedawcą na trzecim piętrze.

Otworzył boczne drzwi za pomocą elektronicznej karty kodowej dostarczonej przez kontakt w bazie. W torbie na ramieniu niósł drugą część zapłaty: pierwszą połowę przelał przed miesiącem na podane konto. Oprócz tego miał przy sobie również sztylet o trzydziestocentymetrowym ostrzu ze spieku węglowego, ukryty w pochwie na przedramieniu.

To była jego jedyna broń. Nie mógł ryzykować, że strażnicy przy bramach odkryją cokolwiek.

Zamknął za sobą drzwi i skierował się do klatki schodowej po prawej stronie, oświetlonej jedynie czerwonym znakiem z napisem WYJŚCIE. Włączył noktowizor zainstalowany w kasku. Świat natychmiast rozjaśnił się odcieniami zieleni i srebra. Gray szybko wszedł na trzecie piętro i pchnął drzwi prowadzące do wnętrza budynku.

Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie nastąpi spotkanie. Wiedział tylko tyle, że ma czekać na sygnał od tamtego człowieka. Przystanął na chwilę, rozejrzał się dookoła. To, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało.

Klatka schodowa znajdowała się w narożniku budynku. Jeden korytarz biegł prosto, drugi w lewo. Po jednej stronie każdego korytarza ciągnęły się drzwi do pomieszczeń biurowych, po drugiej zaś okna. Powoli ruszył przed siebie, gotów zareagować na najmniejsze poruszenie.

Przez jedno z okien wpadł snop światła, który przesunął się po nim i podążył dalej.

Oślepiony, rzucił się pod ścianę i poturlał do tyłu. Czyżby go namierzono? Snop światła przesunął się nieśpiesznie dalej. Ostrożnie zerknął przez jedno z okien. Wychodziło na obszerny dziedziniec przed budynkiem. Ulicą powoli jechał wojskowy hummer z zamontowanym na dachu szperaczem.

Rutynowy patrol.

Czy nie wystraszy jego kontaktu?

Klnąc w duchu na czym świat stoi, Gray czekał, aż pojazd zniknie z pola widzenia. Na chwilę jego życzenie się spełniło: hummer wjechał za potężny obiekt stojący na środku dziedzińca. Obiekt ten trochę przypominał statek kosmiczny, choć w rzeczywistości był po prostu kulistym zbiornikiem o pojemności miliona litrów, wspartym na tuzinie ogromnych nóg. Otaczały go rusztowania, ponieważ właśnie przechodził renowację, która miała przywrócić go do świetności z okresu zimnej wojny. W bazie nazywano go Ósmą Kulą. Usta Graya wykrzywił niewesoły uśmiech, kiedy uświadomił sobie, w jak niewesołej znalazł się sytuacji. Schwytny w pułapkę za Ósmą Kulą...

Hummer wyłonił się zza zbiornika, powoli dojechał do końca dziedzińca i znikł w jednej z alejek.

Zadowolony Gray ponownie ruszył korytarzem. Niebawem

dotarł do dwuskrzydłowych drzwi z wąskimi szybkami, przez które widać było obszerne pomieszczenie z wysokimi metalowymi i szklanymi pojemnikami. Jedno ze starych laboratoriów, pozbawione okien i opuszczone.

Ktoś jednak zauważył jego przybycie, ponieważ w głębi pomieszczenia trzykrotnie błysnęło jasne światło, zmuszając go do wyłączenia noktowizora. Latarka.

Sygnał.

Pchnął stopą jedno skrzydło i prześlizgnął się przez szczelinę.

— Tutaj — odezwał się czyjś spokojny głos.

Gray słyszał go po raz pierwszy. Do tej pory zawsze był zniekształcony elektronicznie, całkowicie anonimowy. Teraz stało się oczywiste, że należy do kobiety. Dla Graya było to spore zaskoczenie, a nie lubił być zaskakiwany.

Szedł wzdłuż rzędów stołów, na których poustawiano odwrócone krzesła. Kobieta zajęła miejsce przy jednym ze stołów. Oprócz krzesła, na którym siedziała, ze stołu zdjęto jeszcze tylko jedno. Po przeciwnej stronie.

— Siadaj.

Spodziewał się nerwowego naukowca, kogoś, komu zależało tylko na pieniądzach. Zdrada z powodów finansowych stawiała się czymś coraz częściej spotykanym. USAMRIID nie stanowił pod tym względem wyjątku... tyle że był tysiącrotnie groźniejszy. Każda oferowana na sprzedaż fiołka mogła zabić tysiące ludzi, gdyby rozpylić jej zawartość na przykład na stacji metra.

A ona chciała sprzedać piętnaście takich fiolek.

Usiadł na krześle, położył na stole torbę z pieniędzmi.

Kobieta była Azjatką... Nie, Eurazjatką. Miała owalne oczy i lekko śniadą cerę, uszlachetnioną brązową opalenizną. Jej czarny golf bardzo przypominał ten, który on miał na sobie. Była szczupła, ale bez wątpienia silna. Na jej szyi wisiał srebrny łańcuszek z amuletem w postaci smoka owiniętego własnym ogonem. Gray przez jakiś czas przyglądał się kobiecie w milczeniu. Nie była spięta jak on, raczej... znużona.

Oczywiście jej spokój mógł w jakiejś części brać się z faktu, że celowała mu w pierś z sig sauera kalibru 9 milimetrów, z tłumikiem, ale tak naprawdę zmroziły go dopiero jej słowa: